

# Kronika tygodniowa.

A jednak, jak to można łatwo się pomylić!

Kończąc poprzednią kronikę, zauważyłem mimochodem, że Czarnogórcy postawili się ostro, szczególnie wobec Austrii, gdy jednak pan Berchtold spojrział na nich groźnie, udali, że to tylko żart *prima aprilisowy* i cofnęli się na całej linii.

Uznałem ten fakt, jako walne zwycięstwo polityki zagranicznej austriackiej i kapitalny sukces ekscelencyi Berchtolda.

Pokazało się przecie, że fałszywe były moje informacje, bo król Nykita uparł się, jak małe dziecko i ani myśli zaprzestać obłęzenia Skutari.

— Możecie sobie wysyłać noty, jakie wam się podoba — tak powiada — a ja sobie będę strzelał, dopóki mi się zechce i spodoba!... Bo ja tu jestem panie dzieju królem, a nie kto inny!... A jakże!...

Teraz już nie sama tylko Austrija i Włochy, ale cała Europa zaczęła się sierzdzić i zagroziła Czarnogórze demonstracją flotową, politycy cetyńscy nie sobie przecie nie robią z tego i notę mocarstw uważają za żart pierwszo-kwietniowy.

Sytuacja ciągle więc naprężona i można z całą stanowczością twierdzić, że na Bałkanie panuje przecie *status, quo ante*, to jest stadyum ciągłej niepełności.

Faktem jest dokonany, że Adrianopol jest już w rękach bułgarskich, w Konstantynopolu nie przestają się przecie ludzić nadzieją, że jeszcze może być dobrze. Pomiędzy wojskiem tureckim szerzy się ciągle demoralizacja, raz po raz słyszymy o przygotowaniach do rewolucyi, a to nie rokuje wcale powodzenia orężowi tureckiemu i, zdaje się, nie będę fałszywym prorokiem, jeśli powiem, że prędzej, niż nawet spodziewaliśmy się może, ujrzymy sultana za Bosforem, a nos króla Ferdynanda w Carogrodzie.

Spełnią się w ten sposób pragnienia obu, jeden z nich przywdzieje na głowę koronę carów bizantyńskich, daną już do pozłocenia, drugi będzie raz przecie mieć spokój z Europą.

Choć, kto wie, co jeszcze nastąpi, czy nie pokaże się przypadkiem, że „sfera interesów” tego lub owego mocarstwa sięga jeszcze dalej, gdzieś w głąb Azji?

A ile kłopotów z granicami Albanii, o tem wiedzą tylko dyplomaci, którzy wyłysili już kompletnie z ciągłego myślenia i drapania się po głowie. Na spadek po sultanie jest amatorów wielu, nikt przecie nie ubiega się o tureckie długie. Zdaje się, że przypadną one jako rekompensata Austrii, gdy tymczasem reszta podzieli się tureckim terytoryum.

I znów nowy powód do wojny, choć monarchii naszej chyba nikt nie będzie zazdrościł cennego nabytku. O to wojna chyba nie wybuchnie, zresztą, o ile wierzyć Paderewskiemu, marzec i kwiecień miały być zupełnie spokojne, konfliktu spodziewać się można dopiero w maju, a tymczasem sytuacja może się już wyklaruje.

Będziemy więc mieć w dalszym ciągu zbrojny pokój ze wszelkimi jego przyjemnościami, to jest zwiększeniem wydatków na armię i flotę, oraz pomnożeniem kontyngentu rekruta.

A, o ile można zauważyć, Europa zaczyna się już przyzwyczajać do rządów boga Marsa, czego najlepszym dowodem francuska podróżniczka, pani Dieulafoy, która proponuje, aby zaprowadzono obowiązkową służbę wojskową dla kobiet, na razie nie we francie, ale bodaj w magazynach, zakładach itd.

Projekt trzyletniej służby dla mężczyzn spotkał się także z entuzjastycznym przyjęciem.

Nieco inaczej dzieje się natomiast u nas, gdzie właśnie odbywa się asenterunek. Szczególniej wyznawcy Mojżesza są z niego niezadowoleni i narzekają, że pomiędzy lekarzy wojskowych wkraśl się niepotrzebnie antysemityzm, zawielu bowiem ich współwyznawców bierze się do wojska.

A wojskowa służba nie odpowiada wcale usposobieniu potomków walecznych Machabeuszów lub dzielnych zdobywców Jerycha.. O ile są za tem, aby wszystkie narodowości i wyznania, zamieszkujące monarchię, miały zupełnie równe prawa, o tyle znów nie zgrywają się wcale, gdyby obowiązek służenia w armii był przywilejem jedynie chrześcijan.

Szarżę codziennego żywota rozweselają nam od czasu do czasu wykwyty fantazyi niektórych autorów, którym już za mało miejsca na ziemi, wybierają się więc aż na Marsa, planetę w każdym razie obecnie bardzo modną.

Jednym z nich jest niejaki pan Leadbeater, który był tam już kilkakrotnie, naturalnie tylko astralną częścią swego ciała, podczas gdy ziemską część jego ciała spoczywała pogrążona w śnie głębokim. Wra-

żenia z podróży skreślił w dziele, p. t. „Okultyzm w naturze”.

Dowiadujemy się z niego, że mieszkańcy Marsa są do nas zupełnie podobni, choć może nieco mniejsi, ciało ich, szczególnie w części piersiowej, jest ogromnie rozwinięte i to u obu płci. Mają jasne włosy i niebieskie oczy. Domy, zbudowane ze szkła, stoją w cudownych ogrodach, daleko ładniejszych niż nawet krakowskie plantacje. Szkło to jest tego rodzaju, że z wewnątrz widać, co się dzieje na ulicy, z niej zaś nie można wcale zaglądnąć do środka. Zamków ani rygli nikt nie zna, nie popełniono tutaj dotąd ani jednej kradzieży lub włamania, co się jednak zmieni, gdy ludzie zaczną tu przenosić się ze ziemi. Wobec tego niema też policyi, adwokatów, sądów... żaden przybysz ze ziemi nie był nigdy posądzonym o szpiegostwo.

Najciekawszy jest rozdział, traktujący o zwierzętach, przebywających na Marsie, które są tak tresowane, iż spełniają wszystkie roboty domowe i gospodarcze.

I tak — czytamy w organie ludowców — kot wyrabia ciasto, sadi kwiaty lub plewi, psy załatwiają sprawunki, osły doskonale nadają się na nianki do dzieci lub profesorów. Wykładających nawet nauki ścisłe.

Panuje tu wielożenstwo, dzieci wychowuje się na koszt kraju, forma rządu jest autokratyczna, nie wychodzi ani jedno pismo polityczne, sztuka lekarska doszła zaś do takiej doskonałości, że choroby są prawdziwą rzadkością, kto zaś chce umrzeć, nie woła lekarza, ale sam odbiera sobie życie!

Wogóle panują tu stosunki tego rodzaju, że po prostu musimy zazdrościć mieszkańcom Marsa, jeśli *nota bene* pan Leadbeater nie cygani, bo i to być może.

Wartoby o nich urządzić publiczną pogadankę w guście tych, jakie zainicjonował przed świętami Wielkanocnymi zarząd „Straży Polskiej” na temat obecnej sytuacji.

Założenie było bardzo ładne, wykonanie pozostawiało przecie wiele do życzenia, gdyż *de facto* nie były to pogadanki w całym tego słowa znaczeniu, ale prelekcye różnych panów, popisujących się swą głęboką erudycją i powiedzmy... „nieznajomością” stosunków, które przecie zupełnie inaczej wyglądają w codziennym życiu, inaczej zaś przedstawiają się przy zielonym stoliku.

Byli między nimi i „młodzi” uczeni, byli i starsi, przeważnie jednak wszyscy rozprawiali *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, nie wyczerpując absolutnie obranego tematu.

Najbardziej rzeczową była pogadanka, zagajona przez redaktora Marchlewskiego z Poznania, nastrój popsuł przecie niefortunny interpelant, który o mało nie pękł ze złości, że mu się wygadać nie pozwolono, a on tego tak potrzebuje dla swego zdrowia.

Wojna bałkańska zeszła na drugi plan wobec walki teatralnej, która się u nas rozstrzygnie za dni kilka. Gdy Szanowni Czytelnicy na prowincyi otrzymają *Nowości Ilustrowane*, prawdopodobnie będziemy już mieli dyrektora-nomina. Do walki staje trzech kandydatów, równie silnych i równie cięszących się sympatjami.

Są nimi panowie: Pawlikowski, Tarasiewicz i Trzcinski. Z pośród tego trójki ma rada miejska wybrać oblubienicę dla swej Melpomeny.

Pan prezydent odbył już z każdym kandydatem z osobna małą konferencję dyplomatyczną, podczas której badał, co który z nich miastu ofiaruje i czego nawzajem od gminy żąda.

Jakie były narady, o tem wiemy tylko piąte przez dziesiąte. To jedno jest pewnem, że wszyscy kandydaci są tego zdania, że 1) komisya teatralna jest dla każdego dyrektora nie przyjaźnie usposobionym zwierzchnikiem i doradcą, jakby być powinno, ale po prostu kulą u nogi i to bardzo ciężką, 2) gmina, zamiast przedsiębiorcy iść na rękę i ułatwić mu trudne zadanie, chciałaby z teatru odnieść jak największą korzyść materialną, 3) orkiestra teatralna w tym zespole, jaki jest dzisiaj i wynajmowana na takich warunkach, jest ogromnym ciężarem dla przedsiębiorcy.

Co do pierwszego punktu to zgadzam się zupełnie ze zdaniem owych panów, gdyż mieliśmy już dość przykładów, z których widać jasno, jak na dłoni, że członkowie komisji teatralnej, czy to mianowani przez Wydział krajowy, czy przez Radę, powiedzmy grzecznie, po największej części... nie dorosli swego zadania. Przyjmując na siebie obowiązki, o których niejeleń z nich ma takie pojęcie, jak n. p. ślepy o najnowszych kierunkach we współczesnym malarstwie, myśleli tylko o sobie, do jakiego to znaczenia urosną za kulisami teatralnymi.

I nie pomylili się, począwszy o afiszera i woznego kłaniano się im nisko, oni też w przeświad-

czeniu swej godności starali się zwykle dyrektorowi podstawić nogę, wychodząc z tego założenia, że w ten sposób powinien organ kontrolny okazywać swą energię.

Gmina wyzyskuje także każdorazowego przedsiębiorcę, zapominając o tem, że teatr jest placówką kulturalną, na którą powinno się łożyć fundusze, a nie źródłem dochodów dla cierpiącej zwykle na suchoty kasy magistrackiej. Na dyrektora-przedsiębiorcę nakłada się takie obowiązki i ciężary, jakim on po prostu podołać nie jest w stanie, a pamiętać przecie trzeba, że każdy z nich chciałby bodaj wyjść na swoim, ale nie stracić! Tego rodzaju służba „narodowej sztuce” może tylko zniechęcić.

Natomiast co do trzeciego punktu nie mogę wypowiedzieć swego zdania, gdyż muzyki przeważnie nie słucham, albo wychodząc z sali w czasie przerwy, albo też rozmawiając ze sąsiadem lub sąsiadką. Tak samo zapatrują się podobno na tę sprawę i kandydaci na dyrektorów, którym najbardziej przygniata serce ta okoliczność, że rocznie trzeba grajkom płacić coś około dwudziestu tysięcy koron.

Jeden z nich zobowiązał się, że w razie nominacyi zakupi ariston, ewentualnie gramofon, by był wilk syty i owca cała, to jest, aby amatorowie muzyki podczas przerwy nie potrzebowali ziewać, a jego kieszeń nie poniosła zbyt wielkiego uszczerbku.

Ponieważ kronikarz powinien być bezstronnym (zdaje mi się, że nim jestem), ale równocześnie także i wszechstronnym (dałem tego dowody, skacząc w niniejszej kronice z polityki na Marsa, stąd zaś na teatr), pozwolę sobie zacząć także i o mody niewieście, o których czytamy coraz częściej sążniste artykuły, że wspomnę tylko wyczerpującą pracę w tym kierunku, zamieszczoną w świetnym numerze *Kuryerka*, a traktującą o damskiej bieliznie z falbankami i bez falbanek.

Jako profan w tym względzie w szczegóły nie myślę się zapuszczać, muszę przecie wyrazić swe zadowolenie, że w Paryżu nastała znów moda „okrągła”, że wypukłe biodra i t. d. zdobyły sobie na powrót prawo obywatelstwa.

Bo, ileż to czasu i pieniędzy traciły nasze panie, aby doprowadzić do tak wiotkiej kibici, iżby przypominała tykę grochową, spłaszczoną jednak od przodu i od tyłu?... Gniotły się, sznurowały, głodziły, używały różnych pigulek i specyfików, aby dojść do pożądanego kształtu, niestety, wszystko na nic się nie zdało, kogo matka natura obdarzyła zbytnią bujnością wdzięków...

Dziś kobieta znacznie zupełnie inną metodę, więcej naturalną, bo polegającą na dobrem odżywianiu się i nie krępowaniu i sznurowaniu tego, co powinno cieszyć się także wolnością! Bądźmy takimi, jakimi nas Bóg stworzył, a nie róbmy karykatur ze swej postaci.

Nowa moda ma jeszcze i tę wyższość nad dawną, że jest łatwiejszą do wprowadzenia. Trudno jest schudnąć w przeciągu tygodnia korpulentnej niewieście, bardzo natomiast łatwo chudej uzupełnić swe kształty przy pomocy najnowszych środków pomocniczych, wyrabianych z waty i kauczuku.

I zdrowie kobiet na tem nie straci i przemysł krajowy może grubo skorzystać!

Wreszcie warto wspomnieć o miłych stosunkach ekonomicznych, jakie panują w Czechach. Dzięki temu, że od dłuższego czasu nie można uruchomić sejmu krajowego i uchwalić budżetu, krajowi grozi po prostu bankructwo. Na pierwszego otrzymują urzędnicy krajowi tylko 75% pensyi, jeśli zaś do maja stosunki się nie wyklarują, trzeba będzie wprowadzić w urzędowanie komisarsza rządowego.

Zupełnie to samo groziło Galicyi, dzięki Bogu kumotrowi Michałowi udało się jakoś pogodzić Polaków z Rusinami.

Oby tylko na długo!

**IKA-ABADIE**

**TUTKI ZE STERYLIZOWANĄ WATĄ**

Papier ten wyrabia się z najdelikatniejszych włókien roślinnych bez domieszek  
- farbowych, wyłącznie we fabrykach

**„Société Abadie w Paryżu”**

Papier ten pali się lekko i równo i nie wywołuje żadnego drapania w gardle.

## Głosy publiczne.

**C. k. Dyrekcja Kolei Państwowych w Krakowie**  
donosi: Z dniem 1 maja 1913 r. zmienia się dotychczasową nazwę stacji Huta Frydryka-Sporysz, położonej na szlaku Zwardoń-Sucha, na **Sporysz**.